

DEBORAH RODRIGUEZ
KAWIARENKA
W KABULU

Przełożyła
KRYSTYNA CHODOROWSKA



Wydawnictwo Nasza Księgarnia

Tytuł oryginału
A Cup of Friendship

© 2011 by Deborah Lynn Rodriguez
This translation published by arrangement with Ballantine Books,
an imprint of The Random House Publishing Group, a division
of Random House, Inc.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2013

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcia na okładce:

© Cristiano Ribeiro/Dreamstime.com

© Mythja/Dreamstime.com

© forwardcom/stock.xchng

© vierdrie/stock.xchng

© mzacha/stock.xchng

1



Był przepiękny, słoneczny poranek – w takie dni Dżasmina lubiła nieco rozluźniać chustę i wystawiać twarz do słońca. Wraz z młodszą siostrą Lajlą wracała właśnie od studni, ich twarde, pokryte odciskami stopy miarowo wybijały rytm na zakurzonej drodze. Małe muszle, którymi obszyto suknię, pobrzękiwały przy każdym kroku. Dziewczyna spojrzała w stronę ośnieżonych szczytów na północy i pomodliła się, by *inszallah* – jeśli Bóg da – tegoroczna zima nie była tak sroga jak poprzednia. Panował wtedy taki ziąb, że kozy padały, a ziemia zamarzała, niwecząc szanse na udane zbiory. Gdyby sytuacja się powtórzyła, niechybnie zawisłoby nad nimi widmo głodu.

Nagle jej mały sekret przypominał o sobie, wywołując falę mdłości. Dziewczyna potknęła się na kamienistej drodze – jej ciało nie było równie silne i sprawne jak wcześniej, gdy pracowało tylko dla niej. Niemal rozlała wodę z *kuzy* – glinianego naczynia, które niosła na głowie.

– Dżasmino, uważaj! Chodzisz jak osioł na trzech nogach – skarciła ją Lajla, uginając się pod ciężarem własnej *kuzy*.

Naczynie było niemal większe od niej. Dziewczynka od rana miała dobry humor. Jeszcze nie musiała nosić czadoru jak Dżasmina i jej ciemne włosy lśniły w świetle słońca.

Po dotarciu do domu wuja ostrożnie postawiły *kuzy* w kuchni i udały się do głównego budynku. Na podwórzu zauważyły jakiś obcy samochód – duży czarny SUV z przyciemnionymi szybami. Lajla podbiegła do niego zachwycona.

– Dżasmino, tylko spójrz! Ten *landawar* jest większy niż nasz dom!

Ale jej siostra wiedziała, że nikogo w Nuristanie nie byłoby stać na taki pojazd, co oznaczało, że musiał przybyć z miasta, a stamtąd nigdy nie zjawiało się nic dobrego. Prawdopodobnie przyjechał nim jakiś watażka albo mafiozo. Ilekroć w okolicy zjawiały się podobne auta, z pobliskich wsi ginęły dziewczęta.

Próbowała się zaśmiać, wtórując siostrze, ale serce ścisnęło jej się ze strachu. Na czole zebrały się kropelki potu i znów poczuła mdłości, ale tym razem nie z powodu ciąży. Stała w drzwiach do salonu, gdzie jej wuj rozmawiał właśnie z ubranym w beżowy *sakwar kamiz* starszym człowiekiem o brunatnych zębach. Gospodarz wyglądał na przerażonego. Wydobyl z kieszeni niewielki mieszek i podał rozmówcy.

– To *bakszysz!* – wykrzyknął z pogardą obcy. „Jałmużna”. Skrzywił się pogardliwie i uderzył rękę wuja, a woreczek upadł na podłogę.

Dżasmina nie słyszała dalszych słów, ale wiedziała, że wuj błaga tamtego o litość. Wsłuchana w ciężkie bicie własnego serca, oparła się o ścianę i z trudem wypuściła z płuc powietrze. Nie mogła winić swego opiekuna, bo po ostatniej zimie

z trudem udawało mu się wykarmić całą rodzinę. Trzy miesiące wcześniej, na jesieni, zginął mąż Dżasminy, poślubiony jej, gdy miała piętnaście lat. Młoda wdowa wraz z siostrą nie miały gdzie się podziać. Tradycja zmusiła mężczyznę, by przygarnął je pod swój dach i pożyczył pieniądze od tych złodziei. Dziewczyna wiedziała, co się teraz stanie. Wuj nie zdoła jej ochronić, bo nie był w stanie spłacić długu.

– Weźcie moje kozy! – wykrzyknął mężczyzna. – Weźcie dom!

Nie przestając błagać, padł na kolana.

– Ale oszczędźcie Dżasminę. Nie mogę jej sprzedać! Czy przehandlowałbyś swoje oczy, panie? Swe własne serce? – Mężczyzna przerwał, by złapać oddech. – A poza tym – ciągnął, spoglądając w zimne oczy przybysza – kozy są warte znacznie więcej. Już raz była zamężna.

– Tak, nie jest już dziewicą – przytaknął obcy. – Powiniennem zabrać tę małą.

Odwrócił się do Lajli, świdrując ją czarnymi oczami.

– Nie, *hadži!* – zaprotestował wuj, zwracając się do niego pełnym szacunku mianem. – Błagam cię. To jeszcze dziecko.

Dżasmina poczuła, że siostra chwyta ją za rękę i ściska mocno.

– Jeśli nie odzyskam pieniędzy z pomocą starszej, wrócę po młodszą, gdy stopnieją śniegi – oznajmił przybysz, po czym zwrócił się do dziewczyny. – A teraz chodź!

Wuj wstał, wodząc oczami od Dżasminy do obcego, szczęka zadrgała mu gorączkowo, jakby próbował zdławić przekleństwa. Otrzeptał kolana z kurzu i podprowadził podopieczną do samochodu. Zapewniał ją, że nie ma się czym martwić,

ale najwyraźniej podejrzewał, że Dżasmina domyślała się prawdy. Ci obcy zamierzali wywieźć ją z Nuristanu dziurawymi zakurzonymi drogami na południe, aż do Kabulu, i sprzedać temu, kto zaoferuje najwięcej pieniędzy, jako drugą żonę, niewolnicę albo co gorsza prostytutkę.

Młody człowiek, niezwykle wysoki jak na Afgańczyka, o ciemnej cerze i głęboko osadzonych oczach, stanął przy tylnych drzwiach i otworzył je przed Dżasminą. Trzeci z przybyśców siedział na fotelu kierowcy.

Dżasmina chciała krzyczeć, szarpać się, bronić, ale wiedziała, że niczego nie osiągnie, bo wtedy obcy zabiorą Lajlę. Zapytała więc tylko:

– Czy mogę wziąć swoje rzeczy? Zapasowe ubrania?

– Wsiadaj! – krzyknął nieznajomy i brutalnie pchnął jej ramię.

Dziewczyna ruszyła w stronę auta, a potem odwróciła się do wuja i mocno go uściskała. Mężczyzna wyszeptał jej coś do ucha – był to wiersz, który matka Dżasminy recytowała córce w dzieciństwie:

*Krągłą tarczę księżycą rzeźbi prawa dłoń,
A wycięty półksiężyc – lewa ręka Boga,
Ale to jego serce sprawia,
Że moja miłość do ciebie będzie trwać bez końca*.*

* tłum. Krystyna Chodorowska

Dżasmina dołączyła do niego, choć ścisnęła ją w gardle. Potem trzy razy cmoknęła Lajlę w policzki, a każdy pocałunek był bardziej słony od poprzedniego.

– Czeka cię błogosławione życie, maleńka. A teraz uśmiechnij się i niech to będzie mój prezent na pożegnanie.

Ale dziewczynka tylko wybuchnęła płaczem, bojąc się, że już nigdy nie zobaczy siostry, a może nawet sama podzieli jej los. Wyciągnęła z kieszeni paciorki modlitewne i włożyła w dłoń Dżasminy, zamykając jej palce małą rączką i ściskając mocno, jakby nigdy nie zamierzała puścić.

– Starczy już tych pożegnań! – przerwał mężczyzna o brązowych zębach. – Wsiadaj do wozu.

Dżasmina szybko schowała paciorki do kieszeni, zebrała długą sukienkę i weszła do środka.

Lajla pobiegła z powrotem do kuchni.

– Zaczekaj, zaczekaj! – wołała.

Dżasmina wiedziała, że siostra zamierza opryskać samochód wodą – ten tradycyjny gest miał zapewniać, że opuszczająca dom osoba bezpiecznie powróci. Ale miała też świadomość tego, że odjeżdża na zawsze, więc napięła barki i zmusiła się, by patrzeć prosto przed siebie. Siedziała sztywno i nieruchomo, gdy starszy mężczyzna usadowił się na przednim siedzeniu obok kierowcy, a młodszy usiadł koło niej i zamknął drzwi. SUV ruszył z miejsca, wzbijając obłok kurzu.

Nim Lajla wróciła z dzbanem, by oblać auto, było ono już tylko czarnym punkcikiem na drodze prowadzącej w dół zbocza.

*

W kawiarni siedziało sporo stałych klientów – włóczęgów, misjonarzy i najemników, zarówno Afgańczyków, jak i cudzoziemców. A Sunny jak zwykle stała za barem. Z zadowoleniem obserwowała swoje królestwo, chłonąc szum i żywiołowy gwar pulsujący w powietrzu. Zbudowała własny kąt, tutaj, w strefie wojny, w jednym z najbardziej niebezpiecznych zakątków ziemi. Po wielu latach nieustannego pecha i złych wyborów życiowych, w wieku trzydziestu ośmiu lat znalazła dom. Sunny była sercem tej kawiarni i nie zamierzała stąd odchodzić.

Kabul wydawał jej się idealnym miejscem, bo tutaj wszystko mogło się zdarzyć. Przed chwilą do sali weszło pięciu ludzi ubranych na czarno – oczy mieli przesłonięte ciemnymi okularami, na ramionach nieśli karabiny maszynowe, a krótką broń przytroczyli do pasków. Sunny przyznała w duchu, że dawno nie widziała tak pięknych mężczyzn. W innym kraju ich obecność oznaczałaby kłopoty, a w Kabulu tylko pięć dużych latte i talerz ciasteczek.

– Cześć, chłopaki – rzuciła z lekkim południowym akcentem, którego nie potrafiła się pozbyć, nawet po tylu latach. – Jeśli chcecie menu, musicie zdać uzbrojenie – dodała, wskazując na tabliczkę z napisem „PROSZĘ ZOSTAWIAĆ BRONŃ PRZY DRZWIACH”.

Jeden z nich natychmiast zaprotestował – mówił z obcym akcentem, chyba z Europy Wschodniej – i nagle wszystkie oczy zwróciły się na przybyszów. Sunny błysnęła swoim najszerszym uśmiechem i zapewniła ich, że broń będzie bezpieczna.

– A poza tym – przypomniała – jeśli jej nie zdacie, nie dostaniecie karty. Chcecie coś zamówić? Musicie zostawić broń.

Mężczyźni niechętnie przekazali karabiny i pistolety Sunny, która oddała je swojemu bariście, Baszirowi Hadiemu, a ten umieścił wszystko w kanciapie na zapleczu, gdzie trzymali mopy i miotły. Klienci zdjęli chusty i skórzane kurtki, a Sunny zawiesiła je w szafie. Potem podeszła do lady.

– Mam parę spraw do załatwienia – zwróciła się do Baszira, zdejmując fartuch. – Wrócę, gdy tylko będę mogła.

– Pojadę z panią – zaproponował jak zawsze.

– Nie trzeba – odparła odruchowo.

Wiedziała, co za chwilę usłyszy.

– Proszę dobrze zamknąć drzwi. Nie opuszczać okien. I obiecać mi, że nie będzie pani jeździć z odkrytym dachem, na miłość boską. Proszę uważać na przeszkody na drodze. Nie zatrzymywać się nigdzie, chyba że w ostateczności. I nie robić skrótów przez boczne dróżki i zaułki.

– Poprosiłam już Ahmeda, żeby zaparkował samochód przed wejściem.

– Chyba nie muszę przypominać, że...

– Ale i tak to zrobisz – rzuciła z promiennym uśmiechem.

– Nie powinna pani prowadzić i jeździć sama. Proszę zadzwonić do mnie, jak już będzie pani na miejscu.

– Zawsze tak robię. – Sunny odruchowo dotknęła komórki, którą zawiesiła na szyi na czerwonym plecionym sznurku. Straciła już zbyt wiele telefonów, kładąc je bez troski na barze.

Dzisiaj postanowiła zanieść kwiaty nowo wybranej szefowej Ministerstwa Kobiet. Wprawdzie spotkały się już wcześniej w kawiarni, ale oficjalna wizyta pomogłaby zacieśnić ich relacje, tak potrzebne w przypadku kobiety pragnącej prowa-

dzić własny biznes w Kabulu. Sunny włożyła płaszcz, potem zdjęła czador z haczyka za ladą i okryła swoje długie brązowe włosy, ostrożnie otulając jedwabną tkaniną szyję i ramiona. Udawała, że to ekskluzywny szal, który założyła z wyboru.

– *Saalam alejkum* – zwróciła się do Ahmeda, który pracował w kawiarni jako *czokidor*, ochroniarz. Mężczyzna przytrzymał jej drzwi.

– *Wa alejkum as-salaam* – odparł Ahmed. Podobnie jak większość Afgańczyków był niski, a karabin przerzucony przez ramię prawdopodobnie ważył więcej od niego. Przypominał ołowianego żołnierzyka, zwłaszcza że włosy miał przyczesane gładko niczym hełm.

Sunny uśmiechnęła się pod nosem – teraz wiedziała już, gdzie znika żel, który trzymała w kawiarnianej łazience. Paplając w dari, wykorzystwała wszystkie wymagane zwroty grzecznościowe. Jak się miewasz? Jak twoja siostra w Niemczech? Pozostali inni żyjący krewni? Potem spytała, czy wszyscy są zdrowi. W Kabulu inne rozpoczęcie rozmowy uznano by za grubiaństwo, a Ahmed był zaprzysięgłym tradycjonalistą i przestrzeganie zasad – zarówno wyłożonych w Koranie, jak i niepisanych – miało dla niego ogromne znaczenie. Mężczyzna zasłużył sobie na szacunek, ponieważ niezliczoną ilość razy ochronił Sunny i jej klientów przed niebezpieczeństwem.

Rozmówca zrewanżował jej się tymi samymi pytaniami i po chwili mogła już wyruszyć. Spojrzała na ruchliwą ulicę – przed każdym sklepem i lokalem stał człowiek podobny do Ahmeda: w ciemnych okularach, czarnej koszuli i spodniach takiego samego koloru. Niektórzy mieli jeszcze większe kara-

biny i okazalsze noże. Sunny zaśmiała się w duchu. *Czokidory* najwyraźniej konkurowali ze sobą niczym uczennice z jej szkoły, obnoszące się z coraz to nowszym modelem torebki, telefonu czy biżuterii. Tyle że w Kabulu do najpopularniejszych akcesoriów należały pistolety, noże i pałki.

Sunny wolno przedzierała się przez zatłoczone uliczki w swoim mercedesie dieslu, czując się pewniej niż wtedy, gdy jeździła niezawodną małą toyotą przez Jonesboro w Arkansas. Mijała wozy pełne fig i innych owoców, kozich głów, puchatych owiec i strąków kardamonu, stragany z ziarnem, jabłkami i arbusami oraz stopy barwnych, ręcznie tkanych materiałów z Indii i Pakistanu. Widziała grupki mężczyzn nachylonych ku sobie, pogrążonych w dyskusji, podczas gdy inni maszerowali dumnie u boku kobiet okrytych błękitnymi burkami. Ten rozdźwięk pomiędzy życiem obu płci nie dawał jej spokoju. Opuściła szybę, by posłuchać okrzyków chłopców biegnących za samochodem:

– Hej, pani, potrzebny ochroniarz?

Zapach zwierzęcego łajna, potu, ostrych przypraw i spalin tworzył niepowtarzalną mieszankę – zawsze przypominał Sunny o tym, dlaczego pokochała Kabul i postanowiła tu zostać.

Zaparkowała koło ulicy Kurzej. Ciągnęły się tu stragany pełne lokalnych pamiątek – ręcznie tkanych dywanów i kaszmirowych szali, turbanów, ubrań, biżuterii, szkatulek, materiałowych lazurów pasów i drewnianych, ręcznie rzeźbionych mebli z Nuristanu, które tak lubiła. Targ zajmował dwie przecznice, ale dziś panowała tu niezwykle cisza. Na widok cudzoziemki handlarze unosili głowy i uśmiechali się

zapraszająco w nadziei, że uda im się coś sprzedać. Od czasu samobójczych zamachów bombowych Sunny należała do bardzo nielicznych obcokrajowców, którzy nie bali się robić zakupów w tym miejscu. Wszyscy w Kabulu boleśnie odczuli skutki tej tragedii, ona także. Jednak sprawunki dawały jej choć namiastkę poczucia normalności. Mogła spokojnie wybierać, targować się i płacić za produkty, jak gdyby Kabul był normalnym miastem, a ona zwykłą klientką.

Na skrzyżowaniu ulic Kurzej i Kwiatowej Wschód spotykał się z Zachodem – miejscowe wyroby sąsiadowały z aparatami fotograficznymi i innym sprzętem elektronicznym importowanym z Chin oraz Pakistanu, sokami z Uzbekistanu (przydatność do spożycia większości z nich upłynęła w 1989 roku), pirackimi filmami, pocztówkami, czipsami, włoską wodą mineralną i austriackimi serami. Nieopodal działała jedyna w kraju anglojęzyczna księgarnia o nazwie Behzad, gdzie Sunny i jej koledzy kupowali lektury, a potem omawiali je niczym eksperci występujący w programie Oprah Winfrey. Obok znajdował się sklep z filmami, gdzie zaopatrywali się w płyty DVD.

Na ulicy Kwiatowej Sunny poczuła, że zapiera jej dech w piersiach. Pośród gruzów i bladobeżowych ścian, nieopodal otwartego ścieku, kwitły róże. Różowe i herbaciane, wszędzie róże, na każdym straganie i w każdej witrynie, duma Kabulu i afirmacja życia. Sunny poczuła, że z każdym mijanym wiadrem kwiatów wzbiera w niej nowa nadzieja. Niektórzy oferowali tanie plastikowe róże z Tajwanu – tak jakby nie wystarczyły świeże afgańskie kwiaty. Sunny wybrała dwa pęki

odmiany herbacianej i podniosła je, po czym umieściła bukiety w zgięciu łokcia.

Już miała wracać do samochodu, gdy zawahała się niespodziewanie. Poczowała powiew wiatru niosącego zapowiedź zimy. Spojrzała w stronę widocznego stąd szpitala, z którym sąsiadowało Ministerstwo Kobiet. W głowie wciąż rozbrzmiewały jej ostrzeżenia Baszira Hadiego, przestrzegającego ją przed samotnymi spacerami po Kabulu. Trzy lata temu nie było z tym problemu, ale odkąd talibowie i fundamentaliści zaczęli zdobywać wpływy, wszystko się zmieniło. Takie zachowanie tylko kusiło porywaczy, poza tym w każdej chwili ktoś mógł ją zwyczajnie zastrzelić. „Korzystaj z samochodu – powtarzał mężczyzna – a jeśli musisz udać się gdzieś pieszo, spuść głowę, nie odzywaj się niepytana, nigdy nie chodź dwa razy tą samą drogą, rób to, nie rób tamtego”. Sunny miała serdecznie dość jego gderania. Stosowała się do miejscowych zwyczajów i zawsze zakrywała głowę oraz ramiona, ale szanowała też siebie i czasem po prostu musiała się przejść.

I tak też zrobiła. Przybyła do ministerstwa bezpiecznie, z różami w dłoni. Surowy, monumentalny budynek o szarych ścianach przypominał szpital, w którym zmarła jej matka, tyle że w Kabulu wszystko pokrywała warstwa kurzu. Gdy dotarła do poczekalni przed gabinetem pani minister, zastała tam młodą kobietę w ciemnoniebieskiej chuście, tkwiącą za zniszczonym metalowym biurkiem. Na jej widok sekretarka natychmiast wyłączyła ekran monitora. Sądząc po spłoszonym wyrazie twarzy, prawdopodobnie siedziała na czacie – w Kabulu był to jedyny sposób, by chłopcy i dziewczęta mogli

ze sobą porozmawiać. Poprosiła Sunny, by zajęła miejsce. Z taniego pluszowego fotela widziała wewnątrz gabinetu pani minister – luksusowo urządzonego pokoju wyłożonego czerwonymi dywanami. Pośrodku stała młoda kobieta ubrana w strój ludowy, gorączkowo prosząc o coś asystentkę, gdy tymczasem szefowa rozmawiała przez telefon przy biurku. Sunny mimowolnie zaczęła podsłuchiwać. Niezbyt dobrze mówiła w dari, ale przy odrobinie wysiłku zrozumiała historię dziewczyny.

Dżasmina patrzyła przed siebie, obawiając się, że zaśnie w drodze. Bała się wyglądać przez okna i przez cały czas zastanawiała się, co zrobią jej ci obcy, zanim przybędzie do Kabulu. Straciła poczucie czasu. Czy minęły już dwa dni? Może trzy? Jej los nigdy nie zależał wyłącznie od niej samej. Najpierw talibowie zamordowali jej rodziców, a potem mąż zginął od miny lądowej, na którą nastąpił podczas wypasania kóz. Co się stanie, gdy jej nowy właściciel dowie się o dziecku? Przeczuwała, że zna odpowiedź: pobije ją albo jeszcze gorzej. Nigdy nie zdoła mu wmówić, że to on jest ojcem. Jej brzuch już się zaczął zaokrąglać i tylko udrapowana suknia pozwałała go ukryć.

Siedzący obok mężczyzna poruszył się nagle, aż podskoczyła spłoszona. Obcy zaśmiał się i objął ją ramieniem. Dżasmina wiedziała, co zamierza: w końcu nie była dziewczicą, więc porywacz mógł ją wykorzystać, a jej nowy właściciel nigdy by się o tym nie dowiedział. Odsunęła się, czując, że serce wali jej w panice, i zdała sobie sprawę, że znajdują się już na przedmieściach Kabulu. Mur ciągnący się wzdłuż drogi

znaczyły dziury po kulach i co chwila ukazywały się reklamy coca-coli albo plakaty wyborcze. Mężczyzna położył jej dłoń na udzie. Dżasmina krzyknęła, ale obcy zakrył jej usta. Dziewczyna odwróciła wzrok i wpatrzyła się w skrawek nieba, podczas gdy obcy dotknął jej piersi i przesunął dłoń na brzuch. Wtedy zamarł.

– Co to ma być?! – wrzasnął. – Ty głupia dziwko, coś ty zrobiła?!

Przysunął twarz tak blisko, że poczuła gorący oddech. Napotkała wzrok kierowcy w lusterku.

– Co się dzieje? – warknął.

– Ta kurwia matka jest w ciąży! – odparł z niesmakiem mężczyzna, nie odrywając wzroku od Dżasminy. Splunął na nią, a potem spoliczkował ją otwartą dłonią.

Dziewczyna opuściła głowę, czując napływające łzy. Z nosa kapnęła krew. Odruchowo położyła dłoń na brzuchu.

Kierowca zahamował, wzbijając w górę obłok kurzu.

– Dostaniemy za nią grosze – stwierdził. – Pozbądź się jej.

Mężczyzna siedzący obok wyciągnął nóż, ale starszy porywacz natychmiast go upomniał:

– Tylko nie zabrudź tapicerki. Wyprowadź ją na zewnątrz.

Następnie zwrócił się do Dżasminy:

– Ty głupia suko! Powinienem pociąć twemu wujowi twarz za to, że tak mnie okradł, a potem zabrać twoją siostrę. Za tę małą dziewicę dostalibyśmy o wiele więcej.

Dżasmina próbowała otworzyć drzwi, by uciec, ale jeden z napastników uderzył ją w plecy, aż runęła na ziemię. Po-

czuła w ustach smak krwi. Ktoś kopnął ją w bok, a potem coś ciężkiego spadło jej na głowę. Usłyszała jeszcze, jak samochód odjeżdża, nim wszystko pochłonęła ciemność.

Dziewczyna miała na imię Dżasmina i pochodziła z Nuristanu – Sunny wiedziała, że to obszar na północy, przy granicy z Pakistanem. Mówiono, że jego mieszkańcy należą do najpiękniejszych ludzi na świecie i pochodzą w prostej linii od Aleksandra Wielkiego. Jack, który pracował tam przez jakiś czas, wspominał, że tę okolicę określano kiedyś mianem Kafiristanu – słowo *kafir* oznaczało „niewiernego” lub „niewierzącego”. Przed stu laty mieszkańcy zostali zmuszeni przez muzułmanów do przejścia na islam, a wtedy ich ziemię nazwano Nuristanem – Ziemią Światła. Sunny czasem słyszała, jak bywalcy kawiarni używają wyrazu *kafir* jako obelgi.

Dziewczyna opowiadała swoją historię – jakaś stara żebraczka pomogła jej wstać i zaprowadziła z obrzeży miasta na komisariat policji. Policjanci zupełnie nie wiedzieli, co zrobić z młodą kobietą o poranionej twarzy, w zakrwawionym czadorze. Zabrać do szpitala i ryzykować, że oskarżą ich o spowodowanie obrażeń? Dżasmina czuła się zbyt skrępowana, by wszystko im opowiedzieć, a oni byli zakłopotani jej łzami. Sprawy kobiece zazwyczaj rozstrzygano w domu, w kręgu rodzinnym, nie na ulicy. Ostatecznie podrzucili ją do Ministerstwa Kobiet, mając nadzieję, że ktoś się tam nią zajmie.

Dziewczyna rozplakała się bezgłośnie. Asystentka spojrzała ukradkiem na panią minister, która najwyraźniej kończyła rozmowę, i szepnęła petentce, że może przespać się w Szkole

Piękności, obecnie przerobionej na dormitorium, nim znajdzie jakąś rodzinę, która ją przygarnie, na przykład jako pomoc domową.

Inna kobieta pewnie złożyłaby ręce albo położyła dłoń na sercu, ale Dżasmina zareagowała instynktownie i tym się wydała. Jej dłoń przez chwilę spoczęła na brzuchu, a wtedy Sunny zrozumiała, co próbuje chronić. A zatem była w ciąży – to dlatego wyrzucono ją z samochodu. Nie wspomniała o tym w rozmowie, a nawet jeśli asystentka pani minister coś podejrzewała, nic nie dała po sobie poznać.

Minister skończyła rozmowę, po czym wstała z krzesła i obesła biurko.

– Może zostać tam tylko jedną lub dwie noce, Alaja. Nie możemy jej tu trzymać do czasu, aż znajdzie rodzinę. Znasz zasady. Nie prowadzimy hotelu dla zbiegów.

– Ale ona nie ma dokąd pójść! – zaprotestowała Alaja. – Wie pani, co się z nią stanie.

Sunny domyślała się, co sugeruje asystentka – jeśli Dżasmina wróci do domu, prawdopodobnie spotka ją śmierć, a w najlepszym razie skończy jako żebraczka lub prostytutka. A gdy jej ciąża stanie się zbyt widoczna, dziecko także zginie, a matka zostanie ukamienowana jako cudzołożnica.

– Znasz zasady – powtórzyła uparcie minister. – A poza tym nie wiadomo, czy rzeczywiście powiedziała prawdę.

Zmierzyła Dżasminę pogardliwym wzrokiem. W Kabulu mało kto litował się nad takimi kobietami. Najczęściej uważano, że same zasłużyły sobie na wyrzucenie z domu – pewnie wzięły sobie kochanka albo odmawiały wypełniania obowiązków małżeńskich.

– Dwie noce. Nie więcej. I dopilnuj, by wypełnić dokumenty.

Ranna kobieta podziękowała wylewnie, całując panią minister w lewy policzek, potem w prawy i znów w lewy, zgodnie z tradycją.

– Chodź – oznajmiła Alaja. – Pokażę ci drogę.

Gdy Dżasmina wychodziła z pokoju, jej spojrzenie na moment powędrowało w stronę Sunny, ale szybko odwróciła wzrok. W tej krótkiej chwili Amerykanka aż cofnęła się z wrażeń, uderzona buntowniczym wyrazem zielonych oczu. Mimo tego, co jej zrobiono, dziewczyna zachowała dumę.

Po zaproszeniu do gabinetu Sunny złożyła gratulacje szefowej ministerstwa najlepiej, jak umiała. Kusilo ją, by wygarnąć urzędnicze, gdzie może sobie wsadzić całe to biurowe podejście, ale nie potrafiła zapomnieć o zrozpaczonej dziewczynie, o jej nieugiętym spojrzeniu.

Tej nocy Sunny nie mogła zasnąć – wciąż prześladował ją obraz kobiety zamkniętej w samochodzie z tymi bandziorami. Nieustannie zastanawiała się, co stanie się z Dżasminą i jej dzieckiem, gdy w końcu się urodzi. „Cholera – myślała desperacko – tego mi tu tylko brakowało: płaczącego noworodka, który wystraszyłby klientów”. Ale następnego dnia rano wróciła do ministerstwa, by spytać o dziewczynę. Potem odszukała ją w dormitorium i zaproponowała pokój na poddaszu oraz pracę w kawiarni. Dopiero wtedy nieznajoma podniosła wzrok, spojrzała jej prosto w twarz i powiedziała w dari:

– Dziękuję. Niech Bóg oświeci ci drogę.

I znów położyła dłoń na brzuchu.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 53 g/m² wol. 2,4.
MAP Polska*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

Redakcja *Ewa Ressel*

Korekta *Magdalena Szroeder, Ewa Mościcka*

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12310-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań